Nr. 42.

Biuro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Światu Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Warszawa, dnia 6 (18) Października 1871 roku.

ROK VII.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwartał. (w tém miesci się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycyę kop. 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy w *Warszawie:* w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

PO PÓŁNOCY,

RAMOTKA

PRZEZ **K...**

— Ale powiadam ci, Salciu, że najwyraźniéj Zosi zaokrągla się podbródek. Nic nie pomoże — musiémy panienki wziąć na większą dyetę.

— Dałbyś już pokój biédnym dziéwczętom. Doprawdy chcesz je na śmierć zagłodzić. Co za mania karmić panny jak dżokiejów wyścigowych. Dzisiaj naprzykład, przy obiedzie, kiedy Zosia, zjadłszy parę łyżek rosołu i kawałek kurczęcia, chciała przybrać legominy, fuknęłeś na nią tak ostro, że biédaczce łzy się w oczach zakręciły....

— Zawsze tylko trzymasz z temi lalami, zawsze je chronisz, pieścisz, psujesz. Gdyby mnie tu nie było, pozwalałabyś pannicom tuczyć się, niby karmionym kaczorom, żeby potém chodząc kołysały się i sapały. Czy nie wiész że mężczyźni tłustych kobiét nie lubią? Któż będzie się chciał ożenić z takiemi faskami. Mnie samemu, chociażem stary, wstyd nieraz, gdy się dowiem, że mnie ludzie nazywają czasem brzuchalą. Dlatego też chcę, aby mi dziewuchy były lekkie jak piórka, zwinne jak kózki; żeby to, panie, umiało się pofertać, potrzpiotać, poskakać, pochichotać, żeby było zgrabnie i kształtnie uformowane, jak przystało na dobrze wychowane miejskie panienki — a nie pucołowate i czerwone, jak Marysie i Kachny.

— Ależ jeżeli tak dłużéj karmić je będziesz, powysychają jak szczapy. Nie wiem doprawdy, jakim sposobem przy tak lichéj strawie jeszcze w dziewczyninach dusza się kołacze, a co więcéj że jeszcze świéże, pulchne i zdrowe. Chyba że się powietrzem karmią, bo ja doprawdy dawno bym została, nieprzymierzając, takim kościotrupem jak na obrazie u naszéj kucharki.

— To prawda, jak Boga kocham! Pannice mi nie chcą chudnąć. Zmniejszyłem raz porcye obiadowe—nic nie pomogło; zmniejszyłem drugi — znowu się na diabła nie zdało. Trzeba im teraz będzie co drugi dzień tylko dawać dwie potrawy, a do herbaty rano i wieczór po jednym sucharku.

— Wstydziłbyś się tak katować biédaczki. Ty i twoja głupia sekutnica Zadzińska, uwzięliście się oboje razem ciągle im dokuczać.

— Zadzińska nie jest głupia ani sekutnica!—lubię ją, robi co każę. Gdybyś ty miała klucze u siebie, pewnobyś pokryjomu opychała łakociami twe pieszczoszki.

— Oj! to prawda, że u téj jędzy nie mogłyby uprosić nawet kawałka suchego chleba.

— Zadzińska nie żadna jędza. Bardzo proszę w podobny sposób o niéj nie mówić. Gdyby nie jéj czujne oko, pewnobyś sobie ujmowała, aby tylko napaść lubą córunię i ukochaną pupilkę.

— To także prawda.... Stara zaraz wszystko wypatrzy i leci w dyrdy ze skargą do ciebie. Gdybym mogła, wypędziłabym ją na cztéry wiatry.

— Wygnać Zadzińską! Żeby mi dziéwczęta rozpuściła, rozpasła, — żeby im było wolno robić co się żywnie podoba! Co też ci się roi po głowie — czyś oszalała?

— Tyś sam oszalał, niegodziwcze, co się dałeś jednéj staréj przybłędzie opanować i ciągle mnie tylko dręczysz i martwisz. ..

— Ot.... sama nie wiész, co gadasz...

— Wiem co gadam.... wiem co gadam....

— Dosyć tego! groźnie krzyknął nareszcie zniecierpliwiony pan Floryan. Jam tu panem i, do wszystkich diabłów! — nie zniosę aby mi na łbie kto chciał kołki strugać. Będzie tak, jak chcę — rozumiesz?

Pan Floryan przy tych słowach użył całego zapasu energii i powagi mężowskiéj. Jego piwne oczy błyskały gniewem, pulchne policzki wzdymały się i opadały niby miechy kowalskie, wargi szybko i dobitnie rąbały gwałtowne słowa, wąsy, szarpane niecierpliwą dłonią, nastroszyły się niby dwa snopki potarganéj słomy, nos okazały zaczerwienił się na końcu, a szpakowata czupryna nastrzępiła się w nieładzie nad czołem pooraném gniewnemi zmarszczkami. Dodajmy do tego głowę uroczyście zadartą do góry, giest rozkazujący, jednocześnie wykonany obiema rękami, prawą rękę uzbrojoną długim cybuchem o potężnéj stambułce, szlafrok obszerny w szerokie tureckie szlaki, zawiązany czerwonym sznurem z kiciastemi kutasami — a będziemy mieli dokładny obraz całego majestatu zaściankowego despoty. Ta furya szanownego mężulka wywarła zamierzony wpływ na pani Salomei. Wiedząc że nic nie poradzi przeciw jego arbitralności, bąknęła tylko kilka słówek zadławionych, w których drżała nuta cichego płaczu, i wyszła do drugiego pokoju, kryjąc zapłakane oczy w batystowéj chusteczce.

Tymczasem na odgłos sprzeczki rodzicielskiéj, przybiegły ze swego pokoju dziéwczęta i nieśmiało wychyliły głowy, z poza adamaszkowéj portyery spoglądając ciekawie. Obiedwie świéże i wdzięczne, były w tym szczęśliwym wieku, który jest przejściem z dziéwczęcości do dziewictwa, kiedy kontury ciała kobiéty nabierają pełności i okrągłości ponętnéj, nie tracąc jeszcze lekkiego odcienia miękkiéj dziecęcéj delikatności, kiedy świéżo rozkwitła pełném życiem dusza zdradza jeszcze ostatki dziecięcéj prostoty i naiwności. Piérwsza z nich Teofilka, córka zamożnego obywatela wiejskiego, bawiła w domu państwa Floryanów, ukończywszy edukacyą na pensyi, w celu wykształcenia się w muzyce i nabrania wprawy towarzyskiego życia. Była to smagła, śliczna szatynka, o pięknéj pociągłéj twarzyczce, celującéj ożywieniem i regularnością rysów. Pod długiemi rzęsami tliło się opalowe oko, cera lekko śniadawa zlewała się harmonijnie z kraśnym rumieńcem, kwitnącym na pełnych jagodach, drobniutkie, żywo-karminowe usta, zdawały się drgać wiecznym figlarnym uśmiechem swobody. Cała postać i ruchy zdradzały niezmierną żywość i bystrość charakteru. Dziéweczka, spiąwszy się na paluszkach, wychyliła ciekawie główkę; oko jéj, rzuciwszy kilka spojrzeń przenikliwych, błyszczało wyrazem żywego zajęcia, który także piętnował całe ruchliwe oblicze.

Druga z nich, Zosia, córka państwa Floryanów, koleżanka Teofilki, przedstawiała typ odmienny. Była to jasna blondynka— włosy jéj miały płową, lnianą barwę ze srebrzystym odblaskiem. Okrągłe kontury twarzy, posiadającéj piękną, matową alabastrową białość spokojnie i miękko zlewały się ze sobą; wielkie, jasne, niebieskie oko lśniło pogodą i spokojem cichéj zwierciedlanéj szyby jeziora, ukołysanego ciszą wieczorną. Stanęła ona za swą rówienniczką w spo-

kojnéj, harmonijnéj, niemal posągowéj postawie i wodziła powoli po pokoju swą wielką źrenicą, zdradzając pewien melancholiczny wyraz lekkiego zakłopotania i niepewności chwilowéj. Zaledwie zniknął za drzwiami kraj szaty pani Floryanowéj, zaperzony małżonek, usłyszawszy lekki szmer za sobą, obrócił się nagle i ujrzał na tle fałdów purpurowych portyery dwie główki dziewicze. Gdyby to była sama Zosia, pewnoby fuknął groźnie i potraktował ją jakiém dosadném memorandum, ale przy obcéj dziéweczce zmitygował się trochę. Obok tego lubił prawdziwie Teofilkę, bo umiała go ująć miłą, uprzedzającą uprzejmością, wesołością, a nawet więcéj zawsze mogła na nim wskórać, niż lękliwa i powolna Zosia, która nie miała do ojcá prawie żadnéj ufności. Stary zawstydził się trochę swéj zapalczywości i rzekł spokojniejszym nieco, chociaż jeszcze gniewnym głosem:

— A panny tu czego? Proszę do swego pokoju......

Na takie *dictum*, stropione i troszeczkę skwaszone dziéwczęta śpiesznie powróciły do przerwanéj robótki i zwinnie obracały szydełka w pięknych drobnych paluszkach. Po krótkiéj chwilce milczenia, odezwała się z lekkim przekąsem Teofilka:

— Coś dzisiaj słodki twój ojczulek?

— To prawda, że o niezbyt wesołym humorze — odrzekła Zosia z łagodnym i dobrotliwym uśmiechem; ale po chwili z lekkim odcieniem żałosnéj skargi dodała: — biédna mama, pewno miała znowu sprzeczkę o tę nieszczęśliwą dyetę.

— Doprawdy, niepotrzebnie się najlepsza twoja mama tak za nami ujmuje... i gdyby wiedziała!... Ostatnie słowa wyrzekła z ochoczą, pełną tajemniczości wesołością...... Zosia odpowiedziała również lekkim półuśmiechem, chociaż jeszcze trochę smętnym...

— Wiész co — mówiła daléj Teofilka — a gdybyśmy jéj powiedziały?

— Dla Boga, Teosiu, daj pokój... Mama pewnoby się gniewała i zabroniła. Wiész przecież, że ona tylko pocichu, tajemnie sprzecza się o to, ale nam nic nie daje do zrozumienia, żeby nie uszczuplać ojcowskiéj powagi. I tak już ma co słuchać za to, że niby nas psuje i pieści... Nie chciałaby zostać wspólniczką podstępu...

— Więc dajmy jéj delikatnie, oględnie do zrozumienia, że ten post przymusowy wcale nam nie dokucza, że nie dbamy o jedzenie, żeśmy zawsze syte i zadowolone.....

— Tak, tak! to doskonała rada. Twoja mądra główka, kochana Teosiu, zawsze coś dobrego wymyśli w potrzebie. Zajmij się tém, moja droga, tyś zręczniejsza odemnie, że potrafisz wszystko jakoś sprytnie urządzić.

— Z całego serca, Zosiu. Przykro mi że mama twoja martwi się niepotrzebnie... Ale téj staréj nie trzeba dać najmniejszego powodu do podejrzeń. Jéj świdrujące oczy wyśledzą wszystko, choćby na sto sążni pod ziemią... Czy uważałaś jak to ona w ostatnich czasach dziwnie na nas spogląda swoim bazyliszkowym wzrokiem, kiedy, wedle rozkazów papy, gasi lampę w naszym pokoju i mówi nam: „dobra noc!" jakby odniechcenia. Pomimo całéj swéj słodziutkiéj i pokornéj minki, tak jakoś się chętnie uśmiecha... Czy się czasem czego nie domyśla?

— Ależ zkądby... Wszak jéj pokój na drugiéj stronie mieszkania... Nasz stary poczciwy Łukasz także cicho się sprawia i ostrożnie; chowa święcie sekret i nie dałby się wyciągnąć na słowo...

— Témbardziéj że mu do tego dzielnie dopomagają nasze złotóweczki...

— Prawda, ale i bez tego...

Tymczasem w stołowym pokoju zegar uderzył szóstą. Był to znak że panny mogą złożyć robótki i resztę dnia poświęcić swobodnym rozrywkom. (*d. c. n.*)

SULAMITA.

(dramat wschodni w pieśniach).

PRZEZ

BOGUMIŁA ASPISA.

IV.

(*Król pozostawiwszy orszak swój na zewnątrz chaty, wchodzi do niéj sam.*)

SALOMON.

Czy znasz, o piękna, sad ten, gdzie kwitną rajskie róże,
Gdzie tłum słowików śpiewnych u róż tych szemrze łona,
Gdzie gęszczą się lasami cypryjskie winogrona,
Jak oczy twoje — słodkie, jak ócz tych jabłka — duże?

Czy znasz tego Edenu płynące srebrem wody,
Cień drzew jego, woń krzewów, fontanny i altany,
I blask tych wszystkich dziwów, i czar ich nieprzebrany,
Że dusza nim się poi, jak gdyby piła miody?

Czy znasz ten gmach, co pnie się śród drzew tych, róż, w obłoki?
Cud cudów!... jako olbrzym oparty na kolumny,
Wzniesieniem wież swych — groźny, przepychem bram swych — dumny,
Jak stary Liban — mocny, a jako gród — szeroki?

I króla czy znasz tego, co w tym pałacu włada?
W purpurę, w szkarłat, w złoto i w jasność osłoniony,
Że jak przed słońcem, przed nim, tak gasną ziem tych trony
I wielkość królów innych w proch przed nim w pył, upada?

Czy znasz ten sad — ten pałac — i król ten czy ci znany?
I tron ten — dziwy — wieże — fontanny te — altany!?..

. . . .

Otóż ten sad, co woni i drzew co tyle ma,
To sad jest mój — Te skarby, co lśnią się w wnętrzu jego,
To skarby moje — pałac... ten też z drzewa mojego —
A tron ten?.. tron też mój jest — a król ten kto? — król ja!

. . . .

Więc gdybym róże, wonie i wina te, sad cały
I pałac ten i wszystko to co w nim jest i.. siebie
Oddał za jednę chwilkę spędzoną w uciech niebie
Przy tobie, z tobą — Gdybym...
Jakto? — czy dar zamały?
Zamały jeszcze? — Milczysz?..

SULAMITA.

Ach! cóż się dzieje ze mną!!...

. . . .

Więc prawda, prawda-ż, panie, co matka mi dziś rzekła,
Że on, Jonatan, sprzedał mnie tobie za srebrniki!?
Za dar z stu branek podłych mnie wtrącił w mrok, w te piekła;
Na wzgardę, na śmiech oddał!.. na żart téj tłuszczy dzikiéj!!..
...O arko święta, ratuj!.. Jakże mi w oczach ciemno!!..

SALOMON.

Być gwiazdą snów mi, czarem, rozkoszą nieb żądaną, —
Być zorzą dni mych wszystkich, pieszczotą mego łona, —
Źrenicą oczu być mi, być... żoną Salomona!
I to-ż to jest być w piekle? — to-ż znaczy być sprzedaną? —
Przecz zstąpił-żem tu z tronu, wszedł w nizkie te podwoje,
By wzamian tylko doznać takiego w nich przyjęcia?
Jest-że to sposób, którym ugaszcza się książęcia
I taka-ż to odpowiedź na dar, na łaski moje?

. . . .

Chcesz więc, by król twój posłem był tobie od... kochanka?
Zdawał ci wieści o tém, czy-ć ten jest lub nie.. wierny?

. . . .

Ja pytam cię, ja pytam w dobroci swéj bezmiernéj,
Czy mnie chcesz kochać? — słyszysz? — mnie żoną być...

SULAMITA.

Poddanka
Królewską żoną!.. Jakto?.. i pytać-że mnie trzeba,
Czy ja chcę tego?.. Jakto!.. jażbym, ja nie zechciała
Téj resztki krwi, co jeszcze mi w sercu ot została
Poświęcić za te... w bańce mi znów podane — nieba?

. . . .

Tron — blask — pałace — sady — — za mnie!.. O, czyż nie marzę?..
Królu mój, co dasz jeszcze, by potém pełną sromu
Rzucić mnie znów tak... tłuszczy i sprzedać tak znów komu?..

(*po chwili*)

Precz, precz z miłością waszą, wy — pany! wy — kramarze!!..

(*znów po chwili*)

Tron! — blask! — —
Mam i ja tron swój, gdzie rządzę jak królowa!
Miłość mu jest podsłaniem, a wierność — baldachimem;
Pieszczoty ust tych oto — wonnych kadzideł dymem;
Te ręce — poręczami; oparciem — ta ot głowa!
I czarów tego tronu kto raz, wiem, pokosztuje,
Zatęskni do nich jeszcze, jeszcze.. choćby przed skonem,
A myśl, że wzgardził niemi, gdy władał już tym tronem,
Ostatnią chwilę życia swym jadem mu zatruje!

. . . .

Czyże-ś Ty z wyżyn swoich też nie zszedł po te czary?..
Tylko—ja mam broń znowu, co stoi na ich straży,
Że i sam król, tak, król sam ich dotknąć się nie waży,
Jeśli mu dobrowolnéj nie zrobię z nich ofiary.
Więc proś mnie, proś, mój królu, bo to, żeś dał sto branek,
Sto *srebrnych* za mnie, tysiąc i dwa i trzy tysiące,
To nic—to nic!.. Jam śmiała i—palce mam drapiące
Jak sęp i, jak ja wściekłéj, nie znałeś śród poddanek!!...

SALOMON.

Piękniejsza-ś bardziéj jeszcze w koronie téj swéj cnoty,
Lwico moja!.. Żeś godna się mierzyć z Salomonem,
To przyznam ci. Lecz on też nie lubi być wzgardzonym,
Gdy komu niesie miłość i daje tron swój złoty.
Więc słuchaj—Jak ty wdzięk ten i blask białego czoła
I róż tych ust swych sławisz i moc swę i swe męztwo, —
Tak ja ci powiem teraz, czém sięgam po zwycięztwo,
Gdy widzę, że już żadna z mych cnót nic nie podoła—

. . . .

Jonatan cię nie zdradził!...

SULAMITA (*z radością zrywając się nagle z siedzenia*).
Co!? Co!?...
(*Upadając znowu na nie*).
Ach!...

SALOMON.
Jest ci stałym—
Wszystkie za ciebie, tak jest, wszystkie skarby tej ziemi
Dawałem mu—odrzucił..

SULAMITA (*ciągnąc daléj*).
O Boże!

SALOMON.
...aż własnemi
Dłońmi oddawszy w końcu go katom...

SULAMITA (*z rozdziérającym krzykiem*).
Ach!!

SALOMON.
...skazałem
Na śmierć!—Za chwilę...

SULAMITA (*podając na kolana*).
Panie!

SALOMON.
...trup jego będziesz miała!

SULAMITA.
Litości, królu!

SALOMON.
Litość jest teraz rzeczą twoją—
Jeśli go kochasz, zbaw go!.. (*z dziką groźbą*) No zbaw!! bo katy stoją,
Czekając słowa...

SULAMITA (*zrywając się znowu na nogi*).
Nędzny!!

SALOMON.
Więc cóż?..

SULAMITA (*po chwili niemego targania się z sobą, przechylając się wreszcie ku królowi—z determinacją*).
Masz mnie!
(*nagle zachwiawszy się, upada*).

SALOMON (*z cynicznym chłodem*).
Zemdlała...

(*d. c. n.*)

TRUCICIELKI
W PAŃSTWIE FLORY.

Rośliny zbójeckie—Jaskry—Złoczyńca—Ziele żebraków—Ciemiernik—Pielgrzymki do Anticyrei—Tojad—Ziele czarownic—Beladona—Blekot—Wrażenia upojonych tą rośliną—Mandragora—Zwycięztwo Hannibala z pomocą téj trucicielki—Pieprz turecki i kayeński—Pomidor—Kartofel—Tytuń—Bukszpan—Ostromlecz kaktusowaty—Kleszczowina—Maniok—Kassawa i Tapioka—Gatunki krotonów—Mancynella—Kulczyba—Strychnina i kurar—Tanga madagaskarska—Pokrzywa—Liście diabelskie—Cykuta.

Z trzech państw przyrody, Flora, oblubienica poetów zwłaszcza wschodnich, przejawia się nam najwspanialéj. Rozmaitością nieporównaną kształtów, żywością barw, aromatyczną wonią, zalotnica ta wabi w zaczarowane swe gaje, w których myśl biegnie tak swobodnie w krainę marzeń! Rozpatrujesz się z pewną rozkoszą w tworach roślinnych, i schylasz by zerwać kwiatek barwisty, lub posilić soczystą jagodą.

Ostrożność ci jednak zalecam, marzycielu.—W tym kwiecie wonnym—w owocu orzeźwić cię mającym, czyhać może zbójca straszliwszy od drapieżnego zwierza... trucizna! Zbliż się i przypatrz uważniéj.

Tu krzewią się jaskry podejrzane, tam sine psianki, daléj potwory roślinne, zwane Wilczomleczowatemi—owdzie rozradza się rozbójnicza rodzina Tojnowatych. Strychnina, Kurar i Upas jawański czekają cierpliwie na ofiarę.

Z tych wszystkich zabójczych roślin jaskry są najpospolitsze i najmniéj groźne. Najniewinniejsze z nich zapełniają nasze pola. Wiosna przystraja liczne ich gatunki w szaty złociste, srebrzyste i lazurowe, od których nazwę otrzymały. Więc spotykasz to Ostróżkę alpejską (Delphinium elatum) strojną pięknisię, to Czarnuszkę skromnisię, (Nigella arvesis), to Wietrznicę leśną (Anemone silvestris), zwodnicę o trzech listkach zaokrąglonych strzępiasto, lub Powojnik srebrzysty (Clematis Vitalba) a daléj strzeż się. Oto Ciemiernik (Helleborus niger) wątpliwéj moralności, i Tojad fioletowy, zwany też błękitnym (Aconitum Napellus), zbrodzień w pogotowiu z trucizną.

Jaskry przejęte są prawie wszystkie, w mniejszym lub większym stosunku, sokiem ostrym, kaustycznym, jadowitym, który po wysuszeniu rośliny traci w części swe własności trujące, ale zawsze jest szkodliwy, gdy się otrzymuje z zielonéj, świéżéj rośliny.

Jaskry (Ranunculus) zyskały swą nazwę od słowa łacińskiego *Rana*, oznaczającego *żabę*, a to z powodu że lubią, podobnie jak skrzeki, przebywać w miejscach bagnistych. Rozradzają się one wszędzie, gdzie tylko znachodzą potrzebną sobie wilgoć w dostatecznéj ilości. Zielone ich liście przyłożone na ciało zaogniają naskórek. Jeden gatunek jaskra zwrotnikowego, zwanego *Złoczyńcą*, posiada sok nadzwyczajnie ostry; żuty w ustach jego listek piecze nielitościwie.

Botanik Kempt wił się z bólu w straszliwych konwulsyach, połknąwszy jeden tylko kwiatek Złoczyńcy. Wyciąg z tego jaskra otrzymany działa tak gwałtownie po przyłożeniu do rany, że zabić może zwierzę podobnym doświadczeniom poddane.

Powojniki o wdzięcznie pnących się długich łodygach i białych kwiatach, które przedłużając swe szyjki, przekształcają się w kitki jedwabiste, znane są na Wschodzie pod nazwą *ziół żebraczych*, z tego zapewne względu że służą żebrakom, wyzyskującym litość przechodniów, do sztucznego kaleczenia ciała.

Przechodząc do Ciemiernika cuchnącego, przyznać musimy, że nie można go przynajmniéj o hipokryzyę obwiniać. Jest to roślina z wejrzenia posępna, o liściach haczykowatych jak szpony drapieżnego ptaka, z sino zielonawemi płatkami korony. Nazwa jéj grecka znaczy dosłownie *pokarm zabójczy*, nazywają też ją na wschodzie *różą wężów*. Ciemiernik kwitnie prawie w zimie, samotnie w blizkości ruin starych lub skał zapadłych. Pospolity w Owernii i w najdzikszych wąwozach Pireneów. Ciemiernik wschodni rośnie na brzegach morza Czarnego, na górze Athos i Olimpijskiéj, tudzież na wyspie Anticyrei, gdzie krzewi się w niesłychaném mnóstwie.

W starożytności chorzy udawali się tłumnie na powyższą wyspę z wiarą w lecznicze własności Ciemiernika, który uznawanym był za lekarstwo skuteczne we wszelkich chorobach. Obłąkani przecież przed innymi odprawiali tam pielgrzymkę. Ztąd to przysłowie greckie: „*Płyń do Anticyrei,*" odnosiło się ironicznie do tych, których zdolności umysłowe słabo były rozwiniętemi.

Tojad zakończony długiemi gronami błękitnemi, nie mniéj jest niebezpiecznym od swego kuzyna Ciemiernika z zielonemi kwiaty. Te grona błękitne, a raczéj ciemno fioletowe, i wierzchni płatek korony zagięty w kształcie hełmu, nadaje roślinie téj jakąś dziką charakterystykę. Wyobraźnia upatruje w jéj kwiecie pewne podobieństwo do rozbójniczych rycerzy średnich wieków, do owych rabusiów z okiem ponuro błyszczącém, z zapuszczoną przyłbicą, napadających znienacka, i zadających cios rozbrojonemu nieprzyjacielowi.

Możnaby powiedzieć że Tojad ma szczególne upodobania artystyczne, gdyż krzewić się lubi w miejscowościach nagich, smutnych i samotnych, które najlepiéj odpowiadają jego posępnéj postaci. Na bezpłodnych stokach pirenejskich, na rozległych warstwach łupku czerwonawego, pomieszanego z granitem, napotykasz pęki krzewów podejrzanych—Tojady. Jedną z ulubionych ich miejscowości jest dolina wiodąca do cyrku Gawarniego, będąca prawdopodobnie łożyskiem wyschłego jeziora, zakończona przepysznym amfiteatrem. Tworzy ona krajobraz nienieokreślonego wdzięku. Krzewią się tu całe rzesze roślin—w pośród błyszczącego łupku mikowego rozwija

się Zimowit (Colchicum autumnale) o pięknych bladoróżowych kwiatach, i Dziewięćsił ciernisty (Carlina acaulis), roślina naga, smutna, cierpka, poszukująca gór śnieżystych. Obok nich rozradzają się w niepospolitém mnóstwie Tojady na wzgórzach, które wieńczą posępnie, albo też tworzą ramy wąwozów górskich.

Ale wypada nam sfotografować inne trucicielki roślinne. Z psiankowatych (Solaneae) Bieluń (Daturia Stramonium) i Beladona zwana *Wilczą wiśnią* (Atropa Belladonna), z baldaszkowych (Umbelliferae) Blekot (Aethusa Cynapium) i Mandragora lekarska (Mandragora officinarum) do najniebezpieczniejszych należą. Skréślmy ich rysopisy i niecne czyny.

Bieluń, zwany też *Zielem Czarownic*, cechuje się wonią cuchnącą— wszystkie jego części mieszczą w sobie jad, w korzeniach jednak i w owocach zbiéra się on w największéj ilości. Bieluń jest silnym bardzo działaczem. Wyciąg otrzymany z trzech jego torebek kwiatowych i rozpuszczony w mleku, sprawia szaleństwo i ciało następnie paraliżuje. Zatruci w Aix bieluniem błądzili po polach w nocy, dopuszczając się najrozmaitszych niedorzeczności.

Ziele czarownic wywołuje nieporządki w organiźmie, działa na ustrój mózgowy, osłabia pamięć i doprowadza do pomieszania zmysłów. Jeden z botaników podaje, że banda złodziei upoiła podróżnych dekoktem z bieluniu. Okradzeni do nitki po długim śnie letargicznym, zbudzili się w stanie obłędu. Włóczyli się po drogach, jak widma, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Bieluń, jak i inne wszystkie trucizny, używa się w medycynie. Na Wschodzie wydzielają z niego płyn upajający, który po wypiciu sprawia rozkoszne marzenia senne, podobnie jak haszys. Beladona, pomimo ujmującego nazwiska włoskiego oznaczającego *Piękną damę*, niemniéj od Bieluniu jest jadowitą. Wzrasta ona wśród gruzów, w miejscach samotnych; na długich jéj łodygach zwieszają się kwiaty brunatno-czerwonawe, przypominające barwą rdzę żelazistą. Stroń od nich, przechodniu—nie dotykaj zdradzieckich jéj owoców, kształtem podobnych do wiśni, smaku słodkawego, w których się mieści sok czerwonawy.

Strudzony wędrowiec, chcąc ugasić pragnienie, zrywa i wysysa te wiśnie przeklęte, i wkrótce po kilkudniowych męczarniach pada ofiarą trucizny.

W r. 1793 administracya ogrodu Botanicznego w Paryżu poleciła wyplenić w tymże wszelki chwast nieużyteczny. Siéroty z klasztoru Miłosierdzia zawezwane do téj roboty, przekradłszy się do seryi roślin medycznych, zaczęły posilać się słodkawym owocem zdradzieckiéj Beladony. W kilka godzin potém czternastu tych malców leżało na murawie bez życia, po przebyciu straszliwych konwulsyj.

Niemniéj smutną jest historya oddziału wojska francuzkiego, obozującego w Niemczech. Żołnierze złudzeni pięknością owoców téj rośliny, jedli je chciwie. Kilku z nich bezzwłocznie skonało u stóp krzewu zabójczego, inni męczyli się dłużéj, reszta zaś biegała po lesie, dotknięta szaleństwem. Źrenice ich były rozszerzone, osłupiałe, ruchy niespokojne, postać wystraszona.

Buchanan opowiada że Szkoci z pomocą Beladony odnieśli haniebne zwycięztwo nad armią duńską, pogrążoną w sen letargiczny przez tę trucicielkę.

Senność, zawroty i szaleństwo są głównemi symptomatami, towarzyszącemi w organiźmie w skutek użycia téj jadowitéj rośliny psiankowatéj. (*d. c. n.*).

O TEMPERAMENTACH DZIECI [1].

Odczyty publiczne, miane w Krakowie

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

WSTĘP.

O WYCHOWANIU W OGÓLNOŚCI.

Wychowanie człowieka jest jedném z najwspanialszych i największych dzieł, którego dokonać winniśmy na istotach oddanych nam przez Opatrzność pod dozór i opiekę.

Wychowanie jest niezbędną i konieczną potrzebą dla człowieka, — podobnie jak pożywienie dla ciała, jak napój i powietrze, bez których to warunków żyć niepodobna.

Wychowanie ze wszystkich zadań, jakie do spełnienia zostały nam poruczone, jest zarazem najtrudniejszém, któremu nie dorówna żadne inne, jeżeli ono ma być tém, czém istotnie być powinno. Wszystkie inne utwory ludzkiego wynalazku bledną obok tego wzniosłego, i że tak się wyrażę—Boskiego dzieła. To też i środki do niego winny być szlachetne, wzniosłe i wspaniałe.

Ażeby umiéć dzieci wszechstronnie kształcić,—aby módz wszystkie ich umysłowe władze rozwijać, ich uczucie ku dobremu podniecać,—podnosić zapał i miłość ku wszystkiemu co cnotliwe, pożyteczne, prawdziwe i wzniosłe;—z drugiéj zaś strony ażeby wiedziéć jak wychowańców odzwyczajać od wszelkich złych skłonności,— przytłumiać w nich zgubne namiętności, i te jako jadowite rośliny wykorzeniać, a obok nich wrodzone i szkodliwe usposobienia, albo z domu rodzicielskiego do szkoły przyniesione nałogi przekształcać na lepsze,—jak wypadnie chronić od zarozumiałości i mędrkowania, a natomiast żywić prostotę serca i wesołość umysłu, — słowem jak należy gruntownie a wynikle dzieci prowadzić i uczyć, — to wszystko czerpane z książek, chociażby najgruntowniéj i najpopularniéj w tym rodzaju napisanych, okaże się dla wychowawcy niewystarczającém. Teorya jest martwa, powiedział jeden z wielkich myślicieli. Ale jest oprócz tego inne źródło, z którego tych prawd żywotnych zaczerpnąć można; — źródło daleko bliższe i czystsze od wszystkich innych sztucznych, — a tém źródłem naturalném są *dzieci same* powierzone mu do wychowania, ten mały otaczający go światek, którym ma rządzić i kierować, ażeby go przygotować do jego szczytnego przeznaczenia.

Na dzieciach tedy samych należy się uczyć, jak je wychowywać i kształcić wypadnie. Potrzeba z wysokości swéj wiedzy i wykształcenia zstąpić do nizkiego i prostego pojęcia dziatwy i pilnie uważać, jak ona na rzeczy się zapatruje, jak je pojmuje i czuje. Tu bowiem każda drobnostka ma swoje donośne znaczenie. W najmniejszéj, na pozór małoznaczącéj chęci i żądzy wyrostka, przebija się częstokroć jego przyszła dążność w życiu, dobra skłonność lub zguba namiętność—jak owe błyskawice na dalekim widnokręgu wieczornym, zapowiadające burzliwą noc, albo pogodę dnia następnego.

Otóż, wpatrzywszy się ciekawie i z uwagą w ten świat dziecinny, przekonamy się, jak tam wszystko inaczéj nam się przedstawi, jak odmiennie od tego, co widzimy pomiędzy ludźmi dojrzałymi w ich szerokim świecie. Jednakowoż i na to baczyć należy, ażeby pomiędzy dziećmi nie stać się dziecinnym; wszakże wypadnie miéć to zawsze na uwadze, ażeby uprzejméj łagodności towarzyszyła powaga męża, bo tylko tym jedynym talizmanem zdołamy wady dzieci poskramiać, nad ich słabościami panować i z upadku je podnosić. Podobny sposób nazwano dziecinnym obrębem zapatrywania się. I słusznie, — bowiem to jest jedyne pole, na którém to krnąbrne państwo dziecinne podbić można;—tak samo jak zręczny wódz swego przeciwnika o ile możności w jego własnym kraju zaatakować usiłuje. Ażeby jednak taką kampanią z powodzeniem ukończyć, potrzeba wszystkie obroty i stanowisko nieprzyjaciela wyśledzić, poznać naturę jego kraju i wszystkie najskrytsze manowce, któremi iść wypadnie, a nakoniec dostrzedz jego najsłabszą stronę, w którą uderzyć należy, ażeby go rozbroić i zwyciężyć.

Niezapuszczając się w szerokie rozwodzenie nad tematem, czego i jak uczyć ma wychowawca lub nauczyciel,—o czém już mnogie spisano foliały i szumne głoszono programata,—zamierzyłem w niniejszém pisemku podnieść tylko kierunek, znany już wszystkim pedagogom,—a mianowicie ten: ażeby przedewszystkiém naturę dzieci bliżéj poznać, a poznawszy ją, by módz jéj dobre skłonności i usposobienia rozwinąć, szkodliwe zaś stłumić i wykorzenić.

Najprostszą i niezawodną drogą do tego celu wiodącą, jest psychologiczna prawda, oparta na głębokiém doświadczeniu.

Poznać dziecko jako wychowańca, jest to wejrzéć w jego duszę—czyli poznać jego *temperament*, z którego jak z ziarna kiełkuje albo zbawienne pożywienie, albo jadowita trucizna.

Kto na téj drodze weźmie się umiejętnie a z miłością do dzieła, ten posiędzie klucz do wszystkich innych tajemnic w tym trudnym zawodzie ukrytych. Kto pozna temperament dziecka, ten ma sposób prosty, ludzki i naturalny do wyprowadzenia wychowańca na człowieka. Mówię naturalny, — bowiem z saméj natury dziecka czerpie wszystkie możliwe środki do naturalnego, a nie do sztucznego kształcenia, z którego to ostatniego nie ludzie, ale jakieś maszyny wyjść mogą. Rodzice, wychowawcy i nauczyciele szkółek ludowych starać się powinni usilnie o zdobycie tych naturalnych środków, bo te z istotą wychowania są najzgodniejsze. To bowiem tylko

[1]) Nader pochlebne odzywania się pism tutejszych i zagranicą o téj pracy, przy braku zupełnym dzieł tego rodzaju w literaturze naszéj, skłoniły redakcyą do umieszczenia powyższych odczytów w swojém piśmie. (*Przyp. red.*)

trwałém się okaże, co jest i było naturalném,—a twierdzenie to najwybitniéj sprawdza się przy wychowaniu.

Człowiek może wprawdzie na jakiś czas naturę swą pogwałcić i uczynić ją sobie podwładną, lecz przyjdzie czas, kiedy ona zuchwale wypowie posłuszeństwo i połamie wszystkie zapory sztucznie przed się położone. Właściwy temperament nie da się zupełnie przekształcić w swéj naturze, a tém mniéj zamienić na inny. Z flegmatyka nikt nie zrobi choleryka lub sangwinika i odwrotnie. Inaczéj bowiem przyjmuje wrażenia temperament żywy, inaczéj powolny; — a właśnie te wrażenia i sposób ich wnikania w duszę dziecka stanowią w następném paśmie życia człowieka główny czynnik, zostawiający po sobie najgłębsze i najtrwalsze ślady tego, co najwięcéj przyczynia się do założenia najgłówniejszego przymiotu człowieka, mianującego się w późniejszym jego wieku *charakterem*, który tak przeważnie i wszechstronnie wpływa na losy nasze, co nam jedna cześć u współziomków, zléwa na nas błogosławieństwo wdzięcznéj pamięci, albo obarcza klątwą potomności.

Prawda że losy narodów i kształcenie następnéj generacyi zależą przeważnie od wychowania publicznego; ale też i życie familijne wywiéra na dzieci wpływ głęboki,—mianowicie to, co dziecko słyszy w domu rodzicielskim i za domem, kiedy zaczyna w świat wchodzić, ciekawie mu się przypatrywać i do jego zjawisk skwapliwie ręce wyciągać, chwytając i przyswajając sobie wszystko tak, jak mu się nastręcza.

Zużyte to wprawdzie porównanie, że dzieci podobne są do roślin, wymagających troskliwego pielęgnowania; lecz dodać należy tę uwagę, że to są rośliny nieocenionéj wartości, wymagające niezmiernie wielkiéj troskliwości i miłości od swych wychowawców, a spoglądające ku nim z wielkiém zaufaniem i nadzieją. Tak spoglądają drobne kwiatki na łąkach, w gajach i na niwach zbożowych, oczekując z upragnieniem rosy, dészczu, światła i ciepła słonecznego, aby się umacniały, wzrastały i żyły. (*d. c. n.*).



Kawiarnia w Konstantynopolu. (Str. 336.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

„**Psychologiczne pytania XIX wieku.** *3. O wolności woli, przez Juliana Ochorowicza.*”

Jeżeliby kto chciał faktycznie wykazać zacofanie się naszego piśmiennictwa, brak w niém nowych, postępowych żywiołów i zarazem ospałość i gnuśność w dążeniu do swojego widnokręgu, ten nie mógłby lepszych, zdaje mi się, znaléść dowodów gdzieindziéj, jak w historyi obeznania się naszego z poglądami filozoficznemi, szukającemi prawdy na drodze obserwacyi i doświadczenia, poglądami, które na dalszym Zachodzie od lat kilkudziesięciu umysły zajmują i zajmować nie przestają.... Ileż to bowiem czasu upłynęło od chwili, kiedy August *Comte*(1830) metodą *pozytywną* zaczął szukać rozwiązania najwyższych zagadnień, dotyczących przyrody i człowieka, kiedy *Ludwik Feuerbach* (1846) wgłębiał się w dzieje ducha ludzkiego, chcąc religią z podstaw naturalnych wyjaśnić, kiedy *Moleschott* (Kreislauf des Lebens, 1852), *Büchner* (Kraft und Stoff, 1855) i inni usiłowali znieść dysharmonią, jaka idealnemi poglądami między naturą a człowiekiem spowodowaną została, — kiedy *Darwin* (Origin of species 1850) nowe światy dla badaczów otworzył.... a literatura nasza o tych wszystkich próbach, usiłowaniach i zdobyczach kiedyż mówić zaczęła?... Zaledwie od lat pięciu czy sześciu! Taki fakt nie przemawia bynajmniéj na korzyść piśmiennictwa, bo nie przypuszcza w niém tego, co jedynie wartość każdego umysłowego dzieła dla społeczeństwa stanowi, nie przypuszcza—żywotności. Pojmuję bardzo dobrze, że na sprowadzenie takiego faktu wiele, bardzo wiele przyczyn wpływało, że wiele z tych przyczyn przedstawiało liczne trudności do zwalczenia, niemniéj jednakże pozostaje prawdą, że grono dawniejszych pracowników na niwie literatury zakończyło swoje ukształcenie—naturalnie w okresie czasu dość odległym—z tém

przekonaniem że po tém, czego się oni nauczyli, świat nic mędrszego wymyślić nie zdoła. Choć im się następnie o uszy obiła jaka nowa idea, jakie nazwisko nieznane, oni rozumowali na sposób Omara: albo to zgodne z naszém przekonaniem, a więc zbyteczne, albo niezgodne, a więc niewarto. I w błogim spokoju, opasani kordonem *horroris scientiae*, nakrywali głowę szlafmycą i prowadzili daléj żywot olimpijski. Dopiéro kiedy promienie światła nowéj nauki, które się kontrabandą do ich ustronnych leż dostały, z budziły ich ze snu ćwierćwiekowego, z początku obruszyli się tylko, przedrwiwając jakieś tam dziwolągi i dziaduniów z ogonem, potém, nagleni wymaganiami rozciekawionéj publiczności, zaczęli się rozpytywać o tém i o owém i ostrożnie obchodząc z głębokiemi pokłonami około teologii, dali się unieść prądowi i zezwalali na przebąkiwanie o Comte'm, Darwinie i t. p. Jaką drogą prąd ten do nas się dostał, trudno to dzisiaj już dokładnie określić, to jednak nie ulega żadnéj wątpliwości, że piérwsi, co z kierunkiem tego prądu płynąć mieli odwagę, byli to ludzie młodzi, pełni zapału do nauki, chciwi wiedzy, próbując sami, bez przewodnika, dać sobie radę na wzburzonéj fali.... Pamiętni wiekopomnéj ody wieszcza *Do młodości*, nie zwątpili o siłach swoich i pracowali, badali... Jeżeli wśród téj wędrówki po nieutorowanych drogach zbłądzili kiedy, któż im nie przebaczy....

Jednym z tych młodych pracowników jest p. *Julian Ochorowicz*. Już w piérwszéj swojéj rozprawie: *Jak należy badać duszę*, uwieńczonéj jako najlepsza z nadesłanych medalem srebrnym przez wydział filologiczno-historyczny Szkoły Głównéj warszawskiéj, okazał znajomość nowszych badań na polu psychologii i zwłaszcza w przypiskach wypowiedział myśli, niemające kursu na giełdzie pojęć naszéj literatury spółczesnéj. W drugiéj rozprawie p. n. *Miłość, zbrodnia, wiara i moralność*, napisanéj wprawdzie dosyć luźnie, niesystematycznie, ale pełnéj myśli i zdrowych uwag nad rozmaitemi *objawami woli* w człowieku, przechodząc od zwyczajnych faktów życia potocznego, aż do tego kulminacyjnego punktu, w którym namiętność ślepa, nieokiełznana, odbiéra ludziom wszelkie poczucie moralne i prze ich ku wulkanicznym wybuchom, ku zbrodni, wypowiedział zdanie które się stało punktem wyjścia dla obecnéj trzeciéj z rzędu rozprawy: *Owolności woli*. Zdanie to brzmi: „Czemże jest sama *wola*, jeśli nie popędem wypadkowym najsilniejszym!“ (str. 13). W ogóle te dwie książki łączy związek, jaki zachodzi między teoryą i jéj zastosowaniem; tylko że zastosowanie wyprzedziło tu teoryą i że w niém zbaczając trochę z pola czysto-psychologicznego, wkroczył autor na terytoryum etyki. Wprawdzie i w obecnéj broszurce p. Ochorowicz traktuje jednę z kwestyj etycznych: o *słuszności kary*, ale nie zajmuje tu ona wiele miejsca, owszem, treść czysto-psychologiczna stanowi główny przedmiot rozprawy.

Całość jéj rozdzielił p. Ochorowicz na 4 części, z których obecnie mamy trzy tylko. Piérwsza obejmuje *teoryą woli* i dzieli się na 5 rozdziałów. Najprzód występują *psychologiczne podstawy objawu woli*. Tytuł to niewłaściwy, bo w istocie cała książka, prócz części historycznéj, niczém się inném nie zajmuje, jak właśnie wykazaniem tych psychologicznych podstaw. Wrzeczywistości znajdujemy w tym rozdziale wyjaśnienie *świadomości* i zamiany *wrażeń świata zewnętrznego na wyobrażenia* w duszy naszéj, powstawania *uczuć* i *popędów*, które stanowią *podstawę woli*. „Wrażenia stają się wyobrażeniami, które mogą przejść w uczucia, uczucia stają się pragnieniami, które mogą przejść w popędy, popędy stają się wolą, która może przejść w czyny“ (str. 15).

Drugi rozdział p. n. *O działalności zewnętrznéj* przedstawia nam stopniowe uduchowanie się naszéj działalności, owę drabinę naszych czynów, opartą o ziemię a sięgającą niebiosów, rozbiéra *ruchy bezwiedne i świadome* i ujmuje je w ścisłe karby kategoryj, których kombinacye wyczerpują całą ludzką działalność, wykazując zarazem *pobudki*, które te ruchy wywołują.

W trzecim rozdziale znajdujemy *Rozbiór pojedynczego aktu woli*. Tu rozebrane są szerzej te myśli, o których autor napomknął w piérwszym rozdziale t. j. że warunkiem do objawienia aktu woli musi być, obok wyobrażenia danego przedmiotu i uczucia jakie w nas budzi, jeszcze popęd, który jest uczuciem w stanie wolnym, dążącym do nasycenia. Oprócz tego dochodzi autor celu wszystkich naszych pożądań i postanowień, a tym jest „zmiana obecnego stanu duszy na przyjemniejszy“ (str.42). „Nieubłagana konieczność chce, ażebyśmy dążyli do szczęścia“ (43).

W czwartym rozdziale przedstawia p. Ochorowicz wywód *pojęcia woli jako władzy*. Zrobiwszy uwagę że wola jest tylko wypadkową wszystkich popędów, dowodzi że wola niebytu realnego, rzeczywistego, jako odrębna jakaś substancya w duchu naszym, jest tylko abstrakcyą umysłu naszego, który widząc w pewnych grupach zjawisk wewnętrzną, zasadniczą spójnię, spólny ich charakter, symbolizuje je w pojęciu i odrywa od szczegółowych faktów, nadając jéj osobne nazwisko. Jak ludy dzikie, pierwotne uosobiały siły natury, jak proces trawienia przypisywano niegdyś sprawie *Archeusza*, siedzącego jakoby w żołądkach ludzkich, tak i my uzmysławiamy sobie pojęcia ogólne siły, np. uważając je za coś mającego byt realny w rzeczywistości w o oderwaniu od tych zjawisk, z których właśnie te pojęcia powstały. „Wola nie jest substancyą, która stanowi lub rozkazuje, ale jest samém postanowieniem, samym rozkazem.“ (str. 53). Ale dla ułatwienia sobie rozumowania musimy odróżniać *popędy* szczegółowe i *wolę*, jako rezultat tych popędów, chociaż w gruncie rzeczy wola niczém inném nie jest, jak tylko najsilniejszym ze wszystkich popędów.

Rozdział piąty zastanawia się nad pytaniami: *na czém polega zagadnienie o wolności woli*. Tu autor przedstawia zdania stronników wolnéj woli, którzy powiadają, iż każdy człowiek czuje, że może robić co chce, albo nie robić; czuje, że nic go nie zmusza, ażeby postąpił tak, albo inaczéj; czuje, że czyny w nim samym mają *wyłączną przyczynę*,—tudzież stronników konieczności, którzy utrzymują, że człowiek jest rezultatem wszystkiego tego, z czego powstał i co nań oddziaływa, że wszystko co jest, być musi. Zastrzegłszy następnie żeby nie mieszać kwestyi *wolności osobistéj* z kwestyą *wolnéj woli*, która może się nawet wtedy objawiać, kiedy człowiek jest okuty w kajdany, w ten sposób formułuje zagadnienie: „Albo dany akt woli jest samoistnym, samodzielnym, samotwórczym, dla którego ani przeszłość, ani zewnętrzność nie była konieczną przyczyną, albo też jest bezpośrednim, naturalnym, koniecznym wynikiem tego, co go poprzedziło i co jego powstaniu towarzyszy.“ (str. 62).

Dla rozwiązania tego zagadnienia w *Części drugiéj* powołuje duchy przeszłości, aby mu wypowiedziały swe zdanie. Pyta się z kolei: *Plotyna*, *Orygeneza*, *Agustyna*, *Tomasza*, *Locke'a*, *Spinozy*, *Letbnitza* i *Kanta* i prawie od wszystkich otrzymuje odpowiedź, że wola wolną nie jest a chociaż chcieli jéj ten przymiot zatrzymać, to jednak poplątawszy się w zbyt subtelne odróżnienia i abstrakcyje, dokonać tego nie byli w możności.

Po tym przeglądzie w *części trzeciéj* mówi o *Wolności woli ze stanowiska ostatnich badań*. Właściwie jednak jest to streszczenie niektórych pism *Johna Stuarte Milla* a mianowicie: *An Edamination of Sir William Hamilto'n philosophy* (rozdział filozofii Hamiltona) i *Then's battle of two philosophies* (Walka dwóch filozofów), streszczenie, w którym mamy rozbiór wiarogodności naszéj świadomości, co do jéj świadectwa na korzyść wolnéj woli i zaprzeczenie jéj kompetencyi w tym względzie, jak niemniéj odmówienie słuszności téj teoryi, która wolność naszéj woli wyprowadza z odpowiedzialności, za nasze czyny, jaką w sobie uczuwamy. „Jeżeli wierzymy, że będziemy ukarani za zły uczynek, *to dla tego ponieważ* ta wiara została w nas wpojoną przez naszych rodziców, naszych nauczycieli, lub naszą religiją albo też dla tego, ponieważ takie przekonanie jest ogólnie przyjęte przez tych, którzy nas otaczają; albo nakoniec, ponieważ do tego przekonania doszliśmy rozumowaniem lub doświadczeniem“ (str. 117).

(d. c. n.)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ XVII.

Gniéw Sybilli przeminął, nim doszła do chaty Joanny; zapomniała nawet o nim, znalazłszy drzwi zamknięte i pustki w domu. Siadła na chwilę. Przed nią strumień płynął w błotnistém korycie, poza chatą wznosiły się gliniaste wzgórza, spieczone słońcem. Światła tu nie brakowało, ale znikła świeżość zieleni. Nawet w piaskach Afryki oko podróżnika nie spotkałoby bardziéj bezpłodnych obszarów. A jednak takie miejsce opuszczano z rozpaczą i uważano za szczęście przebywać w niém!

— Biédne stworzenie, pomyślała Sybilla—żal mi że nie mam

komu udzielić dobréj wiadomości. Szkoda że muszę czekać do jutra! Blanka byłaby przyszła napróżno.

Odpocząwszy chwilę, Sybilla wstała i pośpieszyła ku domowi. Teraz wybrała dłuższą drogę i niezadługo znalazła się w naznaczoném na spotkanie miejscu, pod sosnami.

Lubiła je Sybilla. Lubiła obszerny widok na morze, i słońce zachodzące poza drzewami, i szum fal rozbijających się o miękkie piasczyste wybrzeże. Lubiła cichy cień ponad głową, i miękki kobierzec z opadłych igieł pod nogami, i słodki aromat napełniający powietrze. Weszła więc w gaik z rozkoszą i siadła, czekając na przyjaciółkę, która zapewne nie spodziéwała jéj się tak prędko z powrotem.

Myśli jéj naturalnym biegiem zwróciły się na stryja, który jéj się dziś w nowém świetle pokazał. Sam siebie kiedyś nazwał prozą i był prozą w pewnéj mierze, ale nie był bez serca. Nie, Sybilla widziała dziś jego drgające wargi i zmącone oczy—boleść opanowała go, a jakikolwiek był powód téj boleści, źródłem jéj było silne i głębokie uczucie. Ludzie zimni, twardzi, nie mają takich trosk ukrytych, z jakiemi on się dziś zdradził. Nie wybuchają nigdy takiemi wpół-ironicznemi, wpół-namiętnemi wykrzykami, jakie dziś wyszły z ust jego po raz piérwszy w obecności Sybilli. Tak, okazał się zupełnie innym niż dotąd. Surową ma twarz, ale czułe serce kryje się pod tym szyderczym uśmiechem.

Zatopiona w tych domysłach, mających powab z powodu saméj ich niepewności, nie spostrzegła Sybilla że niebo się pokryło chmurami; dopiéro błysk i grzmot odległy obudził ją z medytacyi. Zerwała się i zaczęła biedz do domu. Ścieżka szła tuż nad morzem, które teraz wspaniały widok przedstawiało. Niebo chmurne ściemniło wody; na nich łódka rybacka z wytężonemi żaglami śpieszyła do brzegu. Sybilla nie lękliwa z natury, stanęła aby się walce ze wzburzonym żywiołem przypatrzyć.

— Sybillo, Sybillo—zawołał stryj zdaleka, co tu robisz?

Obejrzała się i ujrzała go niosącego jéj palto i parasol.

— Prędko!—niéma czasu do stracenia.

Uszli kroków kilka, gdy nagle zatrzymał się.

— Jeżeli deszcz zacznie padać, nie pomoże ani palto, ani parasol, zmokniesz zupełnie. Tam stoi budka strażnicza, lepiéj się tam schronmy.

— O, tak, pójdźmy, odpowiedziała żwawo; nie lubię moknąć, a biedz lubię.

Wziąwszy się za ręce, dobiegli na czas jeszcze do budki strażniczéj.

— Zamknięta! zawołała Sybilla, popróbowawszy drzwi.

— Muszę więc postąpić jak złodziéj, odpowiedział stryj, i nim zdołała odpowiedziéć, wyłamał wątły zamek i wprowadził ją. Wielki też był czas, zaledwie bowiem drzwi zamknęli, deszcz lunął rzęsistemi potokami. Po piérwszém uczuciu radości z bezpiecznego schronienia, Sybilla zaczęła się rozpatrywać w miejscowości, wcale niepowabnéj. Ściany ulepione z gliny zaledwie mogły stawić opór burzy.

— Schroniliśmy się przed burzą! zawołała Sybilla, klaszcząc w dłonie.

— Prawda, ale mogęż zapytać co cię tak długo zatrzymało mimo nadchodzącéj burzy?

— Czekałam na Blankę.

— A piękna Blanka, widząc że się chmurzy, osądziła iż pewno nie będziesz jéj czekała. Dziwię się czarowi który ci nie dozwolił spostrzedz zmiany pogody. Nad którymże z licznych przymiotów Blanki tak rozmyślałaś?

— Wcale nie myslałam o niéj—żwawo odpowiedziała Sybilla—ale o kimś zupełnie innym niż Blanka. Myślałam o tobie, stryju.

— Proszę, i jakież to były myśli?

Szare jego oczy spoglądały tak przenikliwie, że zarumieniła się nieco Sybilla, ale odpowiedziała otwarcie:

— Myślałam, stryju, że nie jesteś szczęśliwy, i że chciałabym ci pomódz.

— Nieszczęśliwa! któż ci to powiedział?

— Sam stryj powiedział; zapomniałeś o tém?

— O; to przejdzie — rzekł lekko, ale twarz jego zachmurzyła się. Sybilla wstała z krzesła i przybliżyła się do niego.

— Stryju, rzekła poważnie — mów, to ci sprawi ulgę; słowo daję że nie powiem nikomu,—nawet Blance.

— Nawet Blance—powtórzył z uśmiechem — i słowo dajesz? Dość byłoby prostego „tak" lub „nie", wiem że niezdolna jesteś zdradzić — ale opowiedzenie nie sprawi mi ulgi. Oto, Sybillo, jestem niewolnikiem i jęczę w swoich więzach—to wszystko.

— Jesteś żonaty! zawołała ze zdziwieniem Sybilla.

Twarz jego zabłysła ogniem.

— Nie, Sybillo, rzekł po chwili, nie jestem żonaty, ale zaręczony.

— I nie kochasz jéj!—Milczał.—Ale ona kocha ciebie!

— Czy kocha? To sfinks.

— O, bo inną kochasz, zawołała Sybilla, przypuszczając że tą inną może być Blanka.

— Choćby i tak było, czy to mnie zwalnia ze słowa.

— Nie,—rzekła Sybilla zakłopotana.

— Masz słuszność. Ale mówiąc między nami, nie kocham się w drugiéj, nie mam nawet takiéj wymówki. Przyszło to na mnie sam nie wiem jak. Czyja w tém wina, jéj czy moja? nie wiem, dość że miłość przeszła, a ja jestem związany słowem i nie mogę nigdy być wolnym.

— Ale czyż można, ukochawszy raz, przestać kochać?

Stryj rozśmiał się szydersko.

— To cała powieść, na co ją powtarzać? Stare to dzieje. O, gdyby serce mogło się nie zmieniać, gdyby to co nas czaruje, czarowało na wieki! Był czas kiedy burza taka jak dzisiejsza byłaby śliczną pogodą, gdyby mnie ku niéj wiodła; a dzisiaj zniósłbym każdą niepogodę, byle się od niéj oddalić. Ale nie mówmy już o tém. Zdaje mi się że się rozjaśnia.

— I myślisz się z nią żenić, nienawidząc jéj?

— Ja jéj nienawidzę, moję dziécię. Za co? Spodziéwam się że nigdy niebędzie wiedziała że jéj nie kocham.

Mówił to zupełnie zimno, opryskliwie. Sybilla z oczami w ziemię spuszczonemi pomyślała:— Nie daj Boże abym kiedy doznała takiego losu.

— Deszcz przeszedł, Sybillo, pójdźmy,

Niebo się rozjaśniło, kilka tylko czerwonych chmur pozostało na niém; morze błyszczało jasno, ale deszcz padał jeszcze. Stryj Edwar otworzył parasol i trzymał nad brnącą po błocie Sybillą.

— Stryju, rzekła poważnie, kochałeś ją i sądzę że jeżeli minie to nieporozumienie....

— Niéma żadnego nieporozumienia—przerwał.

— Zawsze jest coś!—rzekła po chwili.

— Droga Sybillo, jak można o takich rzeczach rozmawiać pod parasolem? W owéj lepiance, wśród łoskotu burzy, mogłem prawić niedorzeczności; ale z parasolem nad głową i to bawełnianym, pożyczonym z kuchni—jestem chłodny jak komunał.

Mówił żartobliwie, ale Sybilla nie mogła zapomnieć jego zwierzenia. Spojrzała nań tak poważnie, że nagle zatrzymał się.

— Czemuś się zatrzymał stryju, — rzekła — patrz, oto stoję w kałuży.

— Martwi mnie to, ale czemu spojrzałaś na mnie z tak słodkiém politowaniem? Te oczy nie powinny do ciebie należéć, Sybillo, bo jesteś dzieckiem, a jest w nich jakiś wyraz wieczności.

— Oczy moje do mnie należą—wesoło odpowiedziała Sybilla, która dobrze wiedziała że ma ładne oczy, powtarzano jéj to bowiem od dzieciństwa. — Ale, stryju, jak możesz mówić takie rzeczy? i to pod parasolem!

Nie zważając na jéj słowa, zatrzymał się i rzekł: Sybillo, nie żałuj mnie, nie żałuj nigdy mężczyzny. To jego sprawa wydobywać się z kłopotu, a jeżeli wydobyć się nie może, niech znosi go cierpliwie, ale, Sybillo, w taką sieć jak moja, sama możesz popaść kiedyś. Wtenczas powiédz mi, powiédz Sybillo,—a ciężka już będzie sprawa, jeżeli cię nie oswobodzę.

— Dziękuję ci, stryju, rzekła Sybilla, lekko wymykając się od jego boku;—jesteś w grubych butach, a ja w cienkich trzewikach, i wcale nie zważasz na to że mnię w kałużę wprowadzasz. Ale jesteśmy już blizko domu, a ja przemokłam i pójdę prędzéj. Do widzenia. Skinęła ręką i pobiegła, nie oglądając się. Stryj, zwinąwszy parasol, pośpieszył za nią.

Na ganku spotkała ich niespokojnie wyczekująca Miss Cains.

— Moja najdroższa wyglądasz jak rozbitek, — zawołała, mierząc litosném okiem Sybillę.

— Tak—odpowiedziała poważnie Sybilla—stryj chwali moje oczy i prowadzi mnie prosto w błoto.

Miss Cains rozśmiała się i spojrzała na stryja Sybilli, który odpowiedział spojrzeniem jakby zbywającém. Sybilla spostrzegła spojrzenie, zdawało jéj się że odgadła co ono znaczyło i stała się milcząca. Poszła do swego pokoju, zdjęła ze siebie odzież przemokłą, myśląc ciągle: Czyż to być może? On dlatego nie może pokochać Blanki, że jest do tamtéj podobna! Ale jeżeli ona jest tak piękną jak Blanka, dlaczego jéj nie kocha?

(D. c. n.)

KAWIARNIA W KONSTANTYNOPOLU.

Rycina na str. 333 umieszczona, przedstawia nam jeden z kawiarnianych zakładów stolicy sułtana. Widzimy w niéj wyznawców Proroka, rozkoszujących się, jednych samotnie, drugich wśród miłéj pogawędki z towarzyszami, upajającą wonią tytuniu, ciągnionego z wężowych kilkułokciowych fajek, tudzież niemniéj upajającym smakiem *mokki*, napoju przeznaczonego do zamienienia im tu ziemi na niebo. Aby cel ten ostatni lepiéj był dopiętym, Turcy nie zapomnieli w zakładach takich i o muzyce. No... nie rajska ona wprawdzie i nasby wypędziła może prędzéj z kawiarni, ale — co Turek też i tureckie uszy, to nie my i nie uszy nasze! —

PASTERKA.

(OBRAZ BODMERA.)

Jednym z malarzy umiejących najlepiéj podchwytywać, iż tak się wyrazimy, na uczynkach jéj naturę, jest bez wątpienia *Bodmer*. Rycina na str. 336 umieszczona, przedstawia właśnie jeden z takich epizodów natury — dziewczynę zaganiającą przed sobą z paszy całe stado krzykliwych indyków i indyczek. Postać cała wystawiona tak wiernie, iż zda się słyszymy wrzawę, jaką sprawia ta cała ptasia rzesza wraz z upominającą ją energicznie pasterką.



PASTERKA. (Obraz Bodmera.)

NOWINY.

— Koncerta i teatr, to dwie jedyne rozrywki miejskie w porze zimowéj. Repertoary teatralne wszędzie, jak i u nas, starają się o nowe utwory dla swéj publiczności. Owóż, co u nas zdobył w tym względzie świat sceniczny, wiedzą już czytelnicy z poprzedzających naszych pogadanek, pod rubryką „Nowin“. Niestety, nabytki to niezbyt bogate! Teatra zagraniczne wzbogaciły się utworami znakomitszemi niezaprzecze-nie, bo wyszłemi z pod pióra autorów z dawném i zasłużoném uznaniem, a mianowicie teatr francuzki wkrótce da swéj publice dwie nowe sztuki: „Les Tremblants“ Emila Augier'a i „Les âmes vaillautes“ Dumasa-ojca. Tę ostatnią znaleziono w tece autora już po jego śmierci. Niemiecka zaś scena zbogaconą została historyczną komedyą Openheima, p. t. „Eine Stunde Kaiser von Oesterreich“.

— Petersburska prasa peryodyczna powita z dniem 1 stycznia 1872 r. nowego przybysza pod imieniem: „Naukowo-Literacki Wiestnik“. Każdy zeszyt tego pisma będzie obejmował 20 arkuszy druku i zawiérać ma dwa oddziały: 1-szy poświęcony belletrystyce wszelkiego rodzaju, tudzież artykułom naukowym, traktowanym w sposób popularny; II-gi zaś—dawać ma spółczesną kronikę.

— W Berlinie zapowiedziane są od 1-go października dwa pisma nowe: „Berliner Gezellschafter“ i „Die demokratische Zeitung“.

— Do kuryozów pseudo-literackich ze smutkiem zaliczyć musimy „Komedye“ p. Mostowskiego, świéżo wyszłe na świat. *Szkoda czasu i atłasu!*

— Księgarz tutejszy i wydawca p. Kaufman obdarzy nas wkrótce kalendarzem humorystycznym illustrowanym p. t. „Mucha“. *Vae nobis* z dowcipami *Much!...*

— Opera Verdie'go „Aida“ poraz piérwszy ma być przedstawioną w teatrze królewskim w Kairze. Autor téj opery ma otrzymać za swą pracę 50,000 franków.

— Wyszła z druku broszurka p. Marczewskiéj p. t.„ Słówko o odczytach ludowych i odczyt o dziewicy Orleańskiéj.“ Ciekawi będą czytać. Szczęść im Boże!

— Popularność prawdziwych talentów nie upada, ale, przeciwnie podnosi się z ich śmiercią. Zastosować to można do p. Viertz, malarza francuzkiego, którego utwory pełne ciepłego uczucia, a najczęściéj werwy tragicznéj,— dzisiaj dopiéro prawdziwie oceniać poczęto, gdy twórca ich spoczął snem wiecznym. Do takich dzisiaj z sympatyą witanych obrazów p. Viertz'a, należy prześliczna jego kreacya p. t. „Trumna“. W trumnie téj zamknięte zwłoki męża i ojca. Wdowa padła przy niéj na kolana z rękami wzniesionemi ku niebu, dla niéj bowiem wszystko tu już zbladło; dziatki usiłują wyrwać ojca z objęć śmierci!... „Beata simplicitas!“ W całym obrazie —prawda psychiczna, wyższa nad wszelki zarzut.

Korrespondencya od Redakcyi.

— **P. Gwiaździe.** Śliczny pan sobie nadałeś pseudonym i cieszylibyśmy się bardzo, mogąc go podpisać pod poezyą... lecz... niestety! Pan należysz jeszcze do gwiazdek, które nie ostygły dosyć, aby już miéć ruch stały i stały punkt oparcia we wszechświecie. Pożycz pan tego przymiotu od *ziemi* i przyślij nam wtedy swoje poezye.

— **P. J...emu.** Dziękujemy panu bardzo za ujmowanie się za nami w obec pism napadających na nas od czasu do czasu, jak się pan wyrażasz. Tymczasem jednakże śpieszymy Mu oświadczyć, iż damy sobie i sami rady, gdy będzie potrzeba, i że milczenie nasze w pewnych razach jest tylko dowodem, iż nie z *każdym* i nie *zawsze* głos podnosimy w swojéj sprawie.

Wydawczyni KAZIMIERA MOSCH.—Дозволено Цензурою.—W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415—Redaktor FRANCISZEK GUMOWSKI.